



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

— Bodajto dawne czasy choleryczne...

Mój przyjaciel o mało z krzesła nie spadł, zasłyszawszy okrzyk podobny.

— Człowieku, bój-że się Bogal... Jakkolwiek wiem, że to jakiś tylko historyczno-fiksacki okrzyk z twej piersi wypadł, ale—ale... czasami nieogłędne słowo w złą może być wypowiedziane godzinę... Prastare przysłowie—a wierz mi, że na doświadczeniu oparte, mówi: nie wywołuj wilka z lasu — a tu ten wilk nie jest bardzo daleko i, choć go od naszego kontynentu morze Śródziemne tylko oddziela, przeskoczyć on je z łatwością potrafi i zawołać: a kuku! Na ulicach Kairu ludzie, jak muchy, padają, straszna zaraza nie dziesiątkuje tam twech bliźnich, lecz jeno mały odsetek, nie lichwiarski wcale, przy życiu zostawia — a ty, jak gdybyś był nieprzyjacielem rodu ludzkiego, takie bezbożne zachęcenia wygłaszasz?...

Ja na to:

— Przyjacielu—wybacz mimowolnemu okrzykowi. Ale po dłuższej bytności na wsi przyjechałem do Warszawy, rozmaitemi sprawami pociągnięty do niej; trzeba było załatwić to i owo, pójść tam i tam — słowem, poszwędać się uczciwie, ażeby w czas wszystko zrobić i znowu się udać na łono darzącej zdrowiem przyrody. Warszawa, jak każde zresztą miasto położone na piaszczystej równinie, nieodznaczające się zbyt bujnym zadrzewieniem, podczas letnich upałów nie w sobie pociągającego niema: rozpalone bruki i mury, kurz unoszący się w powietrzu, zapachy asfaltu, gazu i dymów—to są przyjemności, na które *volens nolens*, zgodzić się musisz; po za tem jednak unoszą się i inne aromaty, które, w dobrze zagospodarowanym mieście, przy urządzonych kanalizacyjnych ściekach i in-

nych porządkach—nie powinnyby już drażnić twojego powonienia. Człek, zajęty interesami, przebiegając ulice w dzień upalny, nie zważa tak bardzo na te nie heljotropowe zapachy—ale, gdy słoneczko na spoczynek się uda, a zmęczone piersi zapagną odetchnąć świeżem powietrzem wieczoru — wtedy wszystkie zmysły człowieka uważniejsze się stają, zmysł zaś powonienia najbardziej ze wszystkich jest wybrednym. Mniejsza już o kurz, mgłą lekko zasłaniający dalekie przedmioty, spowodowany, częścią ruchem szybko mknących powozów, częścią trenami spacerowych sukienek dam; mniejsza o tłok, nieunikniony w tych razach, gdy rojowisko ludnie wysypie się na ulice i w aleje:—zawsze ożywecy powiew wieczoru dokona swego i pierś odetchnie swobodniej. Ba! odetchnie!—Gdyby mógł człowiek oddychać tylko ustami bez nosa!.. —ale, że i on tu w grę wchodzi, spacerowanie po Warszawie tedy do zbyt przyjemnych rozrywek zaliczyć się nie może. Zapach uliczny jest wprost wstrętny, a zwłaszcza —mieszanka zapachów. Odrazu poczujesz, że tu jest kuchnia, tam piekarnia, tam sklep okratowany, w którym znajdują się resztki nieświeżego mięsiwa, to znów przyłazają się inne aromaty nie uśmierzone dezynfekcyjnymi środkami.

Nie masz-że sposobu zaradzenia tym perfumom miejskim?...

Możeby człek nieobyty nie odrazu na stosowną odpowiedź się zdobył,—ale—ale, mimowoli przyszły mu na myśl czasy panowania brzydkiej cholery, która ludziom „pietra” w pięty napędziła. Przed strachem przejażdżki na pivo do Abrahama, pod grozą kar policyjnych, umiłowali ludziska czystość i — pamiętam dobrze — kiedym do grodu Syreniego powrócił z rokosznej wycieczki w góry i lasy — zostałem zdumiony niebywałym zjawiskiem: — Gród pachniał, a czystość ulic, zaułków i dziedzińców sama rzucała się w oczy, orzeźwiający zaś zapach chlorku mniej drażnił powonienie, niż obecne aromaty warszawskie.

Cóż z tego wynika?

Ze środek jest, tylko strach za góry i lasy odleciał, a myśny sobie do dawnych porządków wrócili. I dla tego to, mój przyjacielu, zażywszy parokrotnie spaceru po ulicach Warszawy, przypomniały mi się czasy choleryczne i mimowoli westchnienie ku niebu uleciało.

Kto mógł, wysunął się z Warszawy, a jakkolwiek pozostało w niej zawsze pół miliona mieszkańców, znajomej sobie twarzy nie udało mi się napotkać, szczególnie brać literacką, z miejskich murów, jak kamfora zniknęła, udając się po połów wrażeń, z którym jesienią nieomieszka podzielić się z wami. Nie pamiętam roku, w którymby pracownicy pióra tak gremialnie opuścili Warszawę. Mówiłoby to dobrze o ich zarobkach, ale my wiemy, że niejeden grosz ostatni poświęcił, by tylko dać odpoczynek mózgowi zmęczonemu.

— Lecz cóż mi o miejscowych stosunkach powiesz?

— Cóż byś ty, mój przyjacielu, z wyduszonej wydusił cytryny? Cicho, cicho i cicho—odpoczywają ludziska, odpoczywają wypadki, bo, że jakiś amator kąpieli utopił się w gliniankach, mimo nawoływań prassy, niezasypanych dotąd; że jakiś desperat wybrał ławeczkę w Saskim ogrodzie z widokiem na sadzawkę i tam kulą rewolwerową chciał przeciąć nie swojego żywota; że amator cudzej własności obdarł kogoś na ulicy, a cyklista zgrabnego kozła wywrócił na Krakowskim-Przedmieściu—to na to specjalnych niepotrzeba warunków, to są wypadki tak zwyczajne, jak ukąszenie muchy na wsi. Wystawa higieniczna oddycha, a nawet przedłużyła swój żywot, gdyż—wbrew podanej wiadomości, że bramy swoje z dniem 15-m Sierpnia zamknie, — zostawi je szeroko otwarte przez cały Wrzesień, w którym to miesiącu właśnie obiecuje przyjacielom swoim tysiąc rozrywek i niespodzianek.

I rzeczywiście! zamknięcie wystawy z dniem piętnastym sierpnia byłoby nie małą krzywdą dla tych,

k którzy z rozmaitych powodów musieli dość wcześnie mury Warszawy opuścić. Wędrownie ptactwo zaczęło powracać we Wrześniu, a radeby było i ono przyjrzeć się bliżej wystawie, która też na tem przedłużeniu może poważne tylko zyski wyciągnąć. Bądź co bądź, o kilkadziesiąt tysięcy zmniejszyła się ludność naszego miasta — wygnali ją upały, potrzeba udania się do wód i źródeł leczniczych, zresztą konieczność odpoczynku i tysiąc innych okoliczności. Wróci to wszystko do gniazd swoich, a wróciwszy, w znacznej części podąży w stronę Koszykowej ulicy. Miesiąc Wrzesień powinien być dobrym miesiącem dla wystawy higienicznej, to też, w przewidywaniu tego wypadku, zawiadujący nią komitet wszystkie niespodzianki na miesiąc ten zachował, do których zaliczone zostało i corso kwiatowe, zapowiedziane już dawniej, z udziałem naszych sprężystych.

A i teraz nieźle się jej powodzi...

Jeżeli niebo nie zapowiada żadnych gwałtownych awantur w przyrodzie, dość ludno jest na placu, po parę tysięcy nieraz osób się zgromadza, słucha specjalnych wykładów, popija czekoladę Wedla, zachwyca się dźwiękami symfonicznych koncertów orkiestry Konopaska. Wprawdzie podryw jej niemały robi zapowiadające o swoim przybyciu Panopticum Macha, które nierade jakoś opuszczać murów miasta zachwycającego się niewiastami o skórach panterzych.

Teatryki ogródkowe są także w ruchu i zdaje się, że lepsze interesy robią, niż w latach ubiegłych. Dobry wybór sztuk, nie pogardzanie oryginalnymi utworami, widocznie podoba się publiczności, bo przybytki Melpomeny nie świecą pustkami a głosu niezadowolonia nie słycać wcale. A i jeszcze jest rzecz dość ważna, której nie trzeba spuszczać z uwagi, że osławiona nasza publiczność, nie tak bardzo lubuje się w bezmyślnych a tłustych farsach, gdy sztuki o poważniejszym zakresie coraz częściej na afiszach spotykać się dają. Jeżeli obecnie brak jest sztuk oryginalnych, to zamiast posiłkować się błazeństwami zagranicznymi, możemy coś i z przeszłości wygrzebać. Zrobił to *Wodevil*, wystawiając piękny dramat Józefa Korzeniowskiego *Nad Czeremoszem*. A czy to jedno tylko mamy? tylko — tylko nie trzeba przez nogę traktować upodobania publiczności, która zawsze pozna się na tem co piękne i co jej do uczucia przemówić potrafi. Wybór by się znalazł, potrzeba tylko umiejętnie dokonać wyboru.

Ludzie zrażeni rozmaitemi projektami, które u nas powstają jak grzyby po deszczu, tylko nie dają się tak zrywać jak grzyby, nie wiedzą dobrze, co trzymać należy o Szpitalu Dzieciątka Jezus, którego los zdawał się już być rozstrzygnięty, a liści pojawiły się różne głosy, pragnące karku ukreślić skończonej na pozór sprawie. — Wedle nich, Folwark Świętokrzyski, jako przyszłe terytorium przeniesionego szpitala, nie jest miejscem odpowiednim, albowiem rozrost miasta posuwającego się w tę stronę, za lat jakie dziesięć oskrzydli Folwark, i — szpital znajdzie się znowu w obrębie miasta, i o nowych jego przenosinach myśleć potrzeba będzie. Okoliczni mieszkańcy przez wzgląd na swoje zagrożone zdrowie w przyszłości, mieli nawet protest do magistratu przesłać, który rozważwszy słuszność uwag, rzecz całą wziął pod rozpatrzenie. Tym sposobem sprawa przeniesienia szpitala miała znów pójść w odłokę. Niesłusznie jednak została zaalarmowana publiczność, albowiem magistrat, biorąc na siebie tę sprawę szpitalną, rzecz całą rozpatrzył dokładnie i doszedł do wyniku, że krańce szpitalnego obrębu dotykać będą do miejsc, na których zabudowania miejskie stać nie mogą. Do takich należą: ogród pomologiczny, plac koszykowy, gdzie obecnie jest wystawa i terytorium, na którym znajdują się filtry. Jedyna tylko ulica Nowogrodzka byłaby w sąsiedztwie szpitalnem, lecz główny gmach, jako też kliniki oddzielać będzie ogród. Omawiana więc sprawa jest już ostatecznie skończoną, i nie podlega żadnemu zakwestyonowaniu.

Sezon ogórkowy nie sprzyja wydawnictwom, to też żadne nowości nie pokazują się w tym czasie, a jeżeli które i opuściły prasę drukarską, to czekają jesieni, by na widok publiczny pojawić się. Parę jednak rzeczy przysłali mi wydawcy do oceny: 1. z Hygieny Ludowej pod zagłówkiem: „Trzeba

dbać o zdrowie, aby się ustrzedz choroby“ pióra Antoszki, nakład M. Mierzejewskiego; 2. „*Bajki domowe i dziecinne*“ zebrane przez braci Grimmów, przełożyła Z. A. Kowerska, w dwóch częściach, stanowiące tom XV Biblioteki „Wisły,” która wychodzi pod redakcją i nakładem szerokiemu ogółowi znanego pisarza, Jana Karłowicza.

Zacznijmy od książeczki higienicznej.

Jeżeli u klasy wykształconej pojęcie higieny jest nieraz bardzo opacznie rozumiane, jeżeli często mówimy o niej, nie stosując się wcale do niej — cóż dopiero mówić o ludziach, którzy, przy najlepszych chęciach nawet lecz przy znanem ubóstwie, nie mogliby się poddać wymaganym higienicznym warunkom. Lecz tu o tych chęciach nawet, przy braku wiadomości elementarnych, mowy być nie może. Zważając jednak, że lud nasz obecnie (nie mówię o ogóle, lecz o bardzo poważnej jego części) z uczuciem zgłodniałego do nauki się garnie — stosowna jest chwila do dania mu do rąk książeczki popularnej, rozjaśniającej wiele stron ciemnych, prostującej niejedno skrzywione pojęcie. Omawiana książeczka Antoszki silny bardzo nacisk kładzie na pokarm. Wiadomem jest, że włościanin przeważnie się żywi produktami roślinnymi, — mając choć te w posiadaniu, niechże wie, które z nich mają w sobie więcej części pożywnych, jakim, w wyborze pokarmu dla siebie, pierwszeństwo ma oddać. Szczegółowy a umiejętnie przeprowadzony rozbiór własności i użyteczności jarzyn, mięsa, mleczywa, przypraw do jadła, napojów oraz zawartych w produktach spożywczych trucizn — wypełnia to zadanie, krom tego, są rozdziały, traktujące o czystości w domu i za domem, o pracy i robotach, o zarazie i pielęgnowaniu chorych. Książeczkę poprzedza wstęp, tłumaczący znaczenie higieny, a że rzecz cała jest pisana językiem zrozumiałym, zastosowanym do pojęć ludu — powinna się rozejść jak najszerzej, a właściwie, obowiązkiem jest klasy inteligentnej, nakład rozkupić i do rąk włościanina włożyć.

„*Bajki domowe i dziecinne*“ zebrane przez braci Grimmów pojawiają się u nas po raz pierwszy w tłumaczeniu, jakkolwiek nie jedna z czytelniczek moich przypomni sobie może, że przed paru laty, jedna z firm wydawniczych naszych, jakieś bajki Grimma w obieg puściła była. Pomiędzy temi dwoma wydaniami kardynalna różnica zachodzi w tem, że owe „puszczone bajki“ nie tylko nie stanowiły całości zebranych przez braci Grimmów opowiadań, lecz zeszecone zostały przeróbkami i dodatkami tłumacza, co odjęło im rzetelną wartość oryginału. Dziś pojawiają się nam w czystej swej szacie, a jakkolwiek wzięte z obcego języka i obcego ludu, podbijają nas fantazyją swoją i tą ogólnoludzką prawdą, która jest każdej baśni podkładem. A co ciekawsze, że wiele tam rzeczy znajdziemy jakby zasłyszanych z ust naszego kmiecia, znanych nam zresztą z „*Bajarzy Polskiego*“ Glińskiego. Rzecz sama w sobie bardzo ciekawa, doskonale odczuta, zrozumiana i spolszczona przez tłumaczkę, że zaś książka wyszła w nadmiernie małej ilości egzemplarzy, radzimy pośpieszyć się z jej nabyciem, albowiem zbyt długo półek księgarskich zalegać nie będzie.

Daleko jeszcze do roku 97 a już zaczynają się pojawiać kalendarzyki humorystyczne, mające nam rozweselić samotność długich wieczorów. Prawdopodobnie, że potop tych kalendarzowych humorystyk i teraz na nas spadnie, ale zawiedliśmy się już tylokrotnie, że i obecnie temu humorowi nie zupełnie wierzymy. A przydałby się on bardzo, przydałaby się i gryząca satyra — ta ostatnia najwięcej możeby miała prawa bytu, bo niejednoby wydrwić, niejednoby biczem śmiechu wygnać należało za próg naszego domostwa. Ale, niestety, brak u nas, jak dotąd, rzetelnego dowcipu; — humor obraca się wciąż około przedmiotów niegraniczających wcale z przyzwoitością, albo około *teściowych*, które, jeżeli co zawiniły na tym świecie, to wzięte od lat tyłu na tortury języków ludzkich, dawno już sobie wyprosiły u Pana Boga królestwo niebieskie.

??

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dokończenie).

— Panno Janino — pyta — co się stało? Przed chwilą jeszcze wesoła, teraz wydaje mi się pani zmęczyć na i smutną?...

Pochyliła się ku niej i na czole jego ukazuje się chmura niepokoju.

Janinie widok Darskiego sprawia przykrość niezmierną. Chciałaby uciec od niego i od myśli swoich, które jak żelazna obręcz czoło jej ścisną.

— Nie mi nie jest... — odpowiada i zrywa się szybko z ławki.

Darskiemu zbyt atoli ciążył przymus, jaki sobie w ciągu długiego pobytu w Paryżu zadawał. Niezrównany takt i powaga Janiny trzymały tam uczucia jego na wodzy. Lecz nie widzi powodu, czemuby teraz, gdy pod opiekuńcze skrzydła matki wróciła, nie mógł przemówić do jej serca i przejąć mękę niepewności.

Pięknością, słodyczą, rozsądkiem ta stojąca teraz przed nim dziewczyna budzi w jego duszy gorące pragnienie domowego życia, pociąga ku temu bezpieczeństwu schronieniu, gdzie wszystkie burze i namiętności szarpiące nieraz pierś męczyzny, pod wpływem kochającej istoty ucisząją się zwolna.

Miłość jego zresztą przeszła teraz w cześć i uwielbienie. Z jaką umiejętnością Janina jednoczyć w sobie potrafi prostotę i wdzięk naturalny z wszechstronnem niemal wykształceniem i powagą stanowiska jakie wkrótce zajmie w naukowym świecie, jak w niczem nie przypomina owych głów egzaltowanych, zarozumiałych, którym się zdaje, że wyższy zasób wiedzy odrębne, wyszukane przywileje jakieś im nadaje. Sercem czysto kobiecym równoważy poglądy chłodniejszego i krytycznego umysłu i jest właśnie taką, o jakiej Darski marzył, jaką posiadać pragnął.

Do Zarzeczka przygnana go gorączka tęsknoty i niepewności, więc nie chce milczeć dłużej i topiąc w twarzy Janiny spojrzenie pytań i trwogi pełne, mówi wprost:

— Kocham panią, panno Janino!

Wrodzona energia, odwaga opuściła go nagle. Stoi przed nią pokorny, nieśmiały. Pragnąłby porwać ją w objęcia, całować te śliczne oczy, usta, a nie śmie.

Na twarzy Janiny odbił się wyraz przestachu i niesmaku. I potrzeba, że właśnie w chwili takiej kiedy serca pęka jej z bólu, słuchać musi wynurzeń miłosnych człowieka, który jest jej zupełnie obojętnym. Tak była pewną zresztą, że postępowaniem swoim w Paryżu odjęła mu raz na zawsze wszelką nadzieję, Darski tak zręcznie miłość swoją ukrywał... Przypuszczała jedynie możliwość stosunku przyjaźni prawdziwej, szczerzej i w skrytości ducha przeznaczała go nawet Amelce.

Zakłopotana, wysunęła szybko rękę z jego uścisku.

— Nie pójdę nigdy za mąż — odezwała się stanowczo, unikając wzroku Darskiego. — Wszak powtarzałam to panu wielokrotnie. Mam swoje osobiste poglądy na kwestyę małżeństwa, od których nie odstąpię.

Głos jej drży nieco, bo przeczuwa, że odpowiedzią swoją sprawi mu przykrość, lecz pragnie scenę tę zakończyć co rychlej i cieniem nadziei nawet nie łudzić Darskiego.

On jednakże nie dorozumiewa się niczego.

— Droga pani — mówi w uśmiechem — pamiętam nasze rozprawy. Pani sądzi, że istnieje pewne przeciwieństwo pomiędzy życiem rodzinnym, a publicznym stanowiskiem jakie pani zająć pragnie. Lęka się pani tych podwójnych obowiązków, nieprawdaż? Wyznaję, że i ja niezbyt dawno jeszcze wyzwolenie

się kobiety uważałem jako czynnik wprowadzający bezład do rodziny. Lecz pani zmieniła moje zapatrywania; pragnę otrzymać pochlebne słówko bez żadnych ograniczeń i skoro pani zechce, będziemy pracować oboje.

Pochylił się ku niej tak blisko, że ustami dotykał prawie jej włosów; namiętne spojrzenie jego twarz Janiny oblewa rumieńcem.

— Kocham, kocham...—szeptem upojony.—Bądź mi radością, siłą, szczęściem, ty ukochana!

Janinę chwilowo wybuch ten obezwładnia. Łzy nabiegają jej do oczu, wzruszenie głosu tamuje.

— Pani Jerzy — odzywa się wreszcie smutno lecz stanowczo — nie rozumieliśmy się widocznie... Ja — ja nie mogłabym wyjść za mąż, nie kochając...

Darski osłupiał. Miałoby to znaczyć, że on jest jej obojętnym, że ta wybrana dziewczyna nie czuje dla niego nic, nie prócz prostej życzliwości, która go złudziła, którą on, niebaczny, fałszywie sobie tłumaczył?

Burza zerwała się w jego piersi.

Stracił odrazu całą moc panowania nad sobą. Na pięknym, mężkiem jego obliczu odmalowała się taka rozpacz, że nie dające się powstrzymać łkanie, wezbrało w piersi Janiny.

— Przebac mi, pani Jerzy — szeptem błagalnie. Darski puścił jej rękę. Wszystko w nim kipiło bólem, drgało rozpaczą.

Po długiej chwili pasowania się z sobą, odzyskał równowagę.

— Przykro mi, że panią zasmucił... — rzekł szczerze, wyrzucając sobie zmienioną jej twarz i załzawione oczy, — Znając panią, wiem, że nie istnieje dla mnie choćby najślabszy promyk nadziei. Obyś była szczęśliwą! Takie jak ty istoty, warte wyjątkowego, zupełnego szczęścia. Co do mnie — ujął mocno gałąź akacji pod którą stali i skruszył ją w rękach nie zwracając uwagi, że ostre jej kolce wpiły mu się w ciało. — Co do mnie — powtórzył, usiłując się uśmiechnąć — nie powiem pani nic ze zwykłych w takich okolicznościach komunałów. Nie przetnie mego życia kula pistoletu i nie będzie też ono złamane, zdruzgotane, bo po za miłością kobiety istnieje inna miłość jeszcze, cel, zobowiązania. Nie twierdę nawet czyli nie ożenię się kiedy; to wiem jednakże i czuję głęboko, że nigdy, nigdy żadnej już kobiety nie pokocham tak, jak pokochałem panią. Serce moje pozostanie ci wiernem mimo zawodu i rozłączenia.

Ujął jej ręce i gwałtowna, gorąca jego natura na krótką chwilę pozbawiła go znów równowagi.

— Janiu, Janiu! — wyszeptał po raz pierwszy i ostatni wymawiając jej imię z bezmierną czułością — nie wstydzę się, odepchnięty, wyznać ci, że cierpię...

Położył sobie dłonie jej miękkie na rozpalonych skroniach; pulsa biły mu jak młotem.

Janinę opanowało krańcowe zmęczenie, wyczerpanie. Cierpiała razem z Darskim, czyniąc sobie wyrzuty, że sztuczna jego obojętność, tak łatwo uspiła jej czujność.

Wieczorem, Dembiński jadąc na stację kolei wstąpił po panią Helenę.

Począł się żegnać i Darski. Na spokojnym, wygładzonym całą siłą woli obliczu nie pojawił się już żaden rys ostrzejszy, namiętny. Z chłodną powagą przystąpił do Janiny.

— Pozwoli pani zajrzeć tu niekiedy i pokrzepić się... — szepnął, rozpaloną dłonią dotykając jej ręki.

— O tak! — odparła z uczuciem. — Mam nadzieję, że czas, praca przyniosą wkrótce zapomnienie. Z całej duszy tego pragnę!

Dembiński przyglądał się obojgu z ponurym ogniem w oczach.

X.

Orzelińska dogorywała. Po kilku latach ostatnich szamotania się, walki zaciętej z losem który jednej chwili jaśniejszej skąpił, odchodziła zmęczona i pewna, że w grobie nawet spokoju nie znajdzie.

Słaba iskierka życia tli w niej jeszcze, lecz wymaga jak największej oszczędności sił, a tymczasem myśli czarne jak widma obsiadły jej mózg i ani

pocziwe starania Dembińskiego i pani Heleny, ani ży dzieci oderwać jej od nich nie mogą.

— To niepodobna — mówi, z napięciem wpatrując się w twarze otaczających — aby śmierć zrywała naraz wszystkie węzły i odbierała świadomość o losie tych, którzy zostają...

Niespokojnym, gorączkowym ruchem chwytła rękę Ireny, która z całej gromadki dzieci jedna tylko czuwa przy matce.

— Co wy poczniecie? — pyta z rozpaczą, graniczącą nieledwie z obłędem.

— Pani skraca sobie życie poddając się nieuzasadnionej trwodze — próbuje perswadować pani Helena.

— Niechaj ten je ochrania komu ono ciągłym wyrzutem nie ciąży... — zawołała chora w rozdrażnieniu. — Co pani wiedzieć możesz o mękach jakich doświadczają ci naprzykład, co nie uchylali się wprawdzie od wszelkich trudów i pracy, a przecież widzą, że nie czynili nic, co byłoby pożytkiem, ulgą dla tych, których zostawiają... O! tylko ja jestem powodem klęsk spadających na nas jedne za drugimi w ciągu tych długich, długich lat męczarni.

— Opanowała panią jakaś mania prześladowcza — uspokaja pani Helena. — Pani podejmowałaś więcej, niżeli w mocy człowieka i oto są rezultaty. Trzeba teraz leżeć w łóżku cicho, spokojnie, jeśli pani chce być zdrową.

Blady, pełen gorczy uśmiech poruszył wargi chorej. Jej mówią o spokojul! Że też nikt jej nie rozumie, a najmniej już ta szczęśliwa, która potrafiła przecie dzieciom swoim ułatwić drogę życia, zabezpieczyć rozsądnie przyszłość.

Z nieopisaną zazdrością przygląda się Krasnohorskiej.

— Słabi giną, mocni wytrwają zawsze na stanowisku... — szeptem do siebie oddychając z trudnością. Trudno było myśl jej oderwać od uparcie prześladowanego ją przedmiotu.

Dembińskiego zaraz na wstępie uderzyły oznaki zbliżającego się końca.

— Zaledwie dni kilka pozostanie jeszcze z nami — szepnął pani Helenie wzruszony.

Orzelińska godzinami całymi leżała w milczeniu, bez ruchu, gdzieś w przestrzeń wpatrzona.

Imiona dzieci snuły jej się na ustach wymawiane z taką bezgraniczną tęsknotą, że pani Helenie serce pękało z żalu.

— Trzeba wezwać Zosię — odezwała się do Ireny. Mama widocznie tęskni i pragnęłaby ją zobaczyć.

— Zosia nie przyjedzie — odparła Irena. — Opiekuje się kurami i gąsieniami jakiegoś ekonomia na folwarku.

Sarkastyczny uśmiech oszpecił jej twarz. Przykleił się on już do rysów pięknej dziewczyny. W całym jej zachowaniu się, przebijało dziwne lekceważenie, obojętność.

— Każdy powinien pracować... — wtrąciła pani Helena, myśli jej odgadując.

Cichy, urywany śmiechek odpowiedział na tę uwagę.

Pessimizm wżarł się w duszę młodego dziewczęcia i wyssał z niej wszystkie soki pożywne — pomyślała zdjęta litością pani Helena, obserwując bacznie siedzącą u łóża matki apatyczną Irenę.

Orzelińska posłyszawszy imię Zosi, poruszyła się gwałtownie.

Wielkie jej oczy z trwogą spoceły na rozmawiających.

— Co mówicie o Zosi? pyta. — Czy wydalili ją? Ona biedna, tak jak i matka nie potrafi zastosować się do warunków... Taka pracowita, a przecież pozbywają jej się wszędzie chętnie i tyle już miejsc zmieniła...

Palce jej wychudłe, przezroczyste, nerwowym ruchem miętosić zaczęły wyniszczone pokrycie kołdry, piersi podnosiły się i opadały szybko.

Po za rozkoszą zobaczenia córki występowała trwoga.

Wtem uderzyła ją myśl inna.

— Co też pani myśli o tem, że dziecko w służbę oddała? — pyta wprost panią Helenę. — To także ciąży na mnie jako jeden więcej dowód mojego niedołęstwa... O! wiem, czuję...

— Mamo — odezwała się nagle Irena — gdyby Zosia zgodziła się była zaślubić pana Mościka, nie

nazywałaby się wprawdzie Orzelińską, ale też i nie potrzebowałaby dozorować cudzych gęsi i kurecząt... Konserwując idealne mrzonki, herbatę wieczorną i poranną zastępuje się przegotowaną wodą a obiad suchym kawałkiem chleba jeśli i jego nie braknie.

Rozśmiała się młodym, dźwięcznym śmiechem, a przecież dziwnie brzmiał on w ubogiej na poddaszu izdebce, w obec rozgrywającego się ostatniego aktu jednego z eichych dramatów życiowych.

Chora przymknęła oczy. Może słowa młodszej córki rzuciły w jej umysł ziarno nowych jakich myśli, może zbudziły tylko drzemające tam oddawna wątpliwości, bo ciężkie westchnienie poruszyło zapadłą pierś i z pod spuszczonej powiek grube żyły spływać poczęły zwolna.

Tak. Nie posiadała umiejętności logicznego ułożenia i powiązania wypadków. Kierowała się jeszcze przestarzałymi pojęciami, nie znała życia, ludzi, świata cóż dziwnego, że popełniała omyłki!

Opuszczając Zambrówkę, należało pozostawić tam wszystkie idealne z przeszłości zabytki, nadać odrazu inny, trzeźwy kierunek wychowaniu dzieci; zamiast uczuciowości zbytniej, która często w życiu niepotrzebnym bywa balastem, rozwijać zmysł praktyczny, a wtedy ani prosty choć uczciwy Mościk ani jego nazwisko nie raziłyby wytwornych pojęć panny Orzelińskiej. Zosia w związku z nim, znalazłaby jeśli nie urzeczywistnienie młodościowych marzeń, to z pewnością ciche i trwałe szczęście.

Pani Helena czytała w myślach Orzelińskiej jak w otwartej księdze. To, co właśnie w jej naturze było rozsądkiem, umiejętną praktycznością życia, co zapewniło spokojne, pełne wysokiej wartości istnienie ukochanym jej córkom, tej nieszczęśliwej, obcem było zupełnie.

Z serdecznym współczuciem pochyliła się nad chorą.

W chwili tej, w sercu przepełnionem uczuciem błogiego spokoju pani Helena uczyniła postanowienie pewne.

— Droga pani — rzekła, całując blade czoło Orzelińskiej — wszystko jeszcze na dobre się obróci. Nie trzeba poddawać się smutnym myślom i czynić sobie wyrzutów. Nikt nie ośmielił się powiedzieć że byłaś pani złą matką. Okoliczności złożyły się tak rozpaczliwie... Da Bóg, pani wyzdrowieje i wtedy pomówimy o przyszłości dzieci. Z rozkoszą się tem zajmę. Zosia i Irenka będą pracować wraz z Amelką, a zajęcia nie zbraknie tam dla nich z pewnością. Co do chłopców...

Pani Helena zawahała się. Z kilku słów z gorczą i sarkazmem wyrzeczonych o Olesiu przez Irenę, powzięła przekonanie, że ten syn pierworodny ciężką jeno sprawiał matce zgrzyotę. Nie widziała go dotąd, mimo choroby matki; Irena tłumaczyła go niezręcznie.

Pani Helena domyśliła się, że zbolała, do żywego dotknięta Orzelińska, widzieć go nie chce.

— Wacio pozostanie nadal w fabryce — ciągnęła dalej snując o przyszłości plany. — Zobaczy pani, jaki sumienny będzie z niego pracownik. Ślusarze chyba zawsze mają chleba pod dostatkiem. Ot, jak rozsądnie pokierowała pani przyszłością Wacka.

Uśmiech radosny jak promień słoneczny rozjaśnił twarz chorej. Tak, chociaż Wacek jeden wyrobi się może na człowieka i pamięci rodziców przeklinać nie będzie.

Uniosła się lekko na poduszkach i nim pani Helena opamiętać się zdołała, gorące, wilgotne wargi przykleiła do jej ręki.

— Dzięki ci, pani! — wyszeptła.

— Niech chociaż on jeden... Lżej mi będzie odejść...

Wzruszenie to jednak zaszkodziło jej i zaraz wieczorem objawiło się gorączką i znacznym pogorszeniem.

Dembiński nie powrócił już dnia tego do Zambrówki, pilnując sam chorej.

Życie uciekało szybko; to było aż nadto widoczne.

— Gdyby Zosia, Zosia przyjechała jak najprędzej... — szeptała w chwilach jaśniejszej przytomności chora.

Noc cała upłynęła wśród gorączkowych majaczeń i widziadeł; chora przywoływała dzieci, imię Zosi z ust jej nie schodziło.

Irena skulona w nogach łóżka nie odrywała ani na chwilę oczu od twarzy matki. Namiętna dziewczyna ugięła się pod naciskiem gwałtu jaki za-

dawać sobie musiała, by nie przeklinać głośno, nie uragać tej sile, której potęgę uznać nie chciała i przed którą nie umiała się ukorzyć.

Ol to już tak dawno jak zarażony modnym sceptycyzmem umysł, usuwał od siebie wszystko, co złagodzić mogło ból i rozczarowanie, a często i głuchą rozpacz w obec tyłu cierpień i upokorzeń, jakie ukochaną jej matkę dotykały.

— Życie jest marną komedią, ludzie źli i przewrotni, a w perspektywie, mamy trochę piasku którym zasypią nam oczy, — jedyna rzecz jeszcze którą cenić warto... — powtarzała powielekroć i ani przywiązanie do matki, ani uwagi Zosi, zmienić jej przekonania nie potrafiły.

— Irenko — prosiła pani Helena przerażona dzikością i gwałtownością spojrzeń jej i mowy — panuj nad sobą, dziecko! Cios to straszny, okropny, ale przyjąć go musisz z poddaniem.

— Z poddaniem? Czemuż to?

Z oczu Ireny wypadła błyskawica.

— Pierwej racz mi pani powiedzieć, czem zasłużyło sobie miliony kobiet na życie bez trosk i cierpień, na ciche, spokojne istnienie, podczas gdy matka moja borykać się musiała ciężko z twardym losem, aż wreszcie, nieszczęsna, ugięła się przed tym wszechpotężnym panem i oto leży złamana, bezsilna...

Wybuchnęła śmiechem zjadliwej, gryzącej ironii, stokroć od łkania przykrzejszym.

Trudno było dać sobie z nią radę.

Nazajutrz przybiegł Wacek drżący, splakany. Czy to być może, aby ta najlepsza, ukochana mateczka odchodziła od nich? Zasmolone jego ręce, bo wypadł wprost z warsztatu, obejmowały szyję matki, gładziły z pieszczołą twarz jej jak wosk złotą; lub przytulał głowę do pracującej mocno piersi matczynej, w której oddech świszczał złowrogo, szybki zapowiadając koniec.

— Irenko — mówił potem do siostry ten duży, tęgi chłopak łkając jak dziecko małe — jużbym wołał całe życie tak cierpieć jakieśmy cierpieli i głodu doznać i chłodu, pogardy ludzkiej najeść się do syta, aby tylko mama od nas nie odchodziła...

Dembińskiego ten dziwnie prosty, dziecienny niemal wybuch żalu głęboko rozrzewnił. Nie zważając na zasmolone odzienie Wacka, przytulił go do swej piersi.

— Cheesz matce pamięć i przywiązanie okazać, bądź człowiekiem... — szepnął, a w rozumnym spojrzeniu chłopca zapaliły się błyski niezłomnej energii. — Gdybym ja był najstarszym!... — wyrzekł przez zaciśnięte zęby.

Ol na niego matka z pewnością liczyć mogła i odejść spokojna.

Wieczorem przyszedł p. Aleksander.

— Trzeba było perfumy zostawić za drzwiami — rzekła mu ostro zaraz na wstępie Irena. — Mama od tych zapachów z pewnością nowego wybuchu kaszlu dostanie.

P. Aleksander stał zmieszany, niepewny. Wychudła, lecz wypieszczoną starannie ręką gładził faworyty, to poprawiał elegancki gors u koszuli, w świetle przyćmionej lampy migocząc fałszywym brylantem na małym palcu.

Cicha męczennica w aureoli przebytych cierpień, upokorzeń i wysiłków daremnych, na prostym łożku sosnowym, w ubogiej stancyjce na poddaszu mocująca się w ostatniej już walce, zaimponowała mu.

Coś jak wyrzut, jak żal, zakołatało do jego zepsutego, wyziębłego serca.

Przypomniał sobie matkę taką, jaką zapamiętał jeszcze z Zambrówki, piękną, wspaniałą, w pełni sił i zdrowia, w otoczeniu tak różnym od tego, w jakim się obecnie znajduje.

Co to się stało z nimi wszystkimi i czemu on, jak obcy, stoi teraz u matczynej proga nieśmiały, wahający?

Wzrok jego z przyzwyczajania może padł na cienkie sukno tużurka i biały, haftowany gors u koszuli.

— Musiałem — szeptał jakby w odpowiedzi tajemnemu głosowi który mu coś wyrzuca. — Gdyby powierzchowność moja nie przemawiała za mną, nie miałbym znajomości i stosunków, a co ważniejsza, nie otrzymałbym w żadnej porządnej instytucji posady. To go chwilowo uspokaja. Posuwa się ku łożku matki odważnie, lecz uginają się

pod nim kolana i uczuwa dreszcz. A przecież matka oczy ma przymknięte i nie widzi go...

Jaka zmieniona! Czy istotnie duch kołace się jeszcze w tym zbiedzonym organizmie? Okropnel P. Aleksander przypomina sobie, że nie był u matki dawno, bardzo dawno! Ostatnim razem nawet powiedział jej parę słów przykrych. Kiedy to było? A! prawda!

W wigilię ślubu jego z tą piękną Felką która go teraz tak mocno za czub trzyma. Matka odmówiła błogosławieństwa i on się uniósł. Nie miał racji i szkoda tylko, że zapóźno dowiedział się o tem.

Felka nie warta pocziwego uczucia a on sobie niepotrzebnie kulę do nogi przywiązał. Ale matkę zawsze kocha. O! kocha! Dobra, cierpliwa, kochająca matka. Tyle jej obiecywał i nieczego nie dotrzymał. Łzy mu nabiegły do oczu, łzy skruchy nagłej, żalu.

Kilka tych gorących kropeł padło na leżącą bezwładnie rękę matczyną. Zadrgnęły jej powieki i wzrok zmęczony zatrzymał się na twarzy Aleksandra.

Nie miała już siły przemówić. Położyła tylko stygnącą dłoń na jego głowie jako znak przebaczenia.

Oleś ryknął płaczem jak zwierzę ranione.

— Cicho! — szepnął Dembiński.

Orzelińska konała.

Spokojnie, bez cierpień już rozstawała się z życiem, które lekkomyślność męża a może i nieudolność własna czyniły tak ciężkim.

Oczy tylko z pod ołowianych powiek wybiegały tęskne, niespokojne.

Wtem u drzwi szmer się ozwał i szary cień przemknął lekko od proga wprost do łoża umierającej.

— Matko! — jęknęła Zosia. — Jestem, przyjechałam!

Ile uczuć zjednoczyło się w tym wykrzyku!

Słaby odblask szczęścia ożywił na chwilę stygnące już rysy Orzelińskiej.

XI.

I znowu jak niegdyś ol dawno już... przed laty, nad jeziorem w Zarzeczcu zachodziło słońce. Każda kropelka wody mieniła się złotem i purpurą a powietrze cała wydawała się jak jedna połyskująca fala tęczyowych blasków.

Wśród złocistych lilii kołysała się łódka; ku niej to właśnie zbliżał się Dembiński z Janiną.

— Więc pani moja koniecznie się uparła przepłynąć dziś jezioro? — pyta, pochylając się ku żonie wspartej na jego ramieniu.

— Tak, panie doktorze!

Odpowiedzi tej towarzyszy figlarne spojrzenie i śliczny uśmiech.

Stanęli nad brzegiem.

Słońce odchodząc, jakby na pożegnanie obrzuciło ich złotem i purpurą.

W bogactwie blasków tych płonie teraz park cały i pola i jezioro, nawet ciemniejący w oddali rąbek lasu rumieni się lekko.

Twarz Janiny promienieje zachwytem.

— Jakie to piękne, doktorze!

— Wspaniałe, profesorze!

Rozśmieli się oboje.

Czar przedwieczornej godziny podziałł na nich jednak rozmarzając. W obec cudów przyrody zapomnieli o projektowanej wycieczce, oczarowani, zapatrzeni.

— Jezioro było najpierwszym moim powiernikiem, — odezwał się po chwili Dembiński, odpowiadając zbudzonym nagle wspomnieniom. — Przypominam sobie, że powracając z Zarzeczca w ów pamiętny wieczór kiedy to pani moja kołysała łódką aby mnie utopić, zwierzałem mu się jak student.

Janina przechyliła zalotnie głowę na ramię męża.

— Nie byłabym utopiła, o nie! — mówi ze śliczną miną rozpieszczonego dzieciaka. — Już wtedy uczułam, że...

— Ze co? Dokończ, Janiu...

— Że pan doktor jest niegrzeczny, — szepnęła z dąsem. — Musiałam go w kilka lat potem zdobywać jak fortecę.

Dembiński przygarnął ją ku sobie.

— Ty moja Janiu! — wyszeptał upojony. Szukał jej ust, lecz udała obrażoną i odwróciła się.

— To wcale nie było po rycersku; — odezwała się po chwili żartobliwie. — Jak żywo mam to wszystko w pamięci! Powróciłyśmy z pogrzebu Orzelińskiej smutne, rozstrojone. Ja wciąż upatrywałam ciebie. Przypuszczam, że bardzo cierpisz. Siedziałeś samotny na mojej ulubionej ławeczce pod lipami, więc zapragnęłam cię pocieszyć i — i powiedziałam ci podobno, że cię kocham...

Wzrok jej jasny spoczął na twarzy męża.

— Odpowiedziałas tylko na pytanie żonusiu, jakie ja pierwszy uczyniłem przed wyjazdem twoim do Paryża — rzekł tuląc ją do siebie.

Zamilkli. Uczucie nieopisanego błogości opanowało ich zmysły i dusze. Kwestya rozbiegana przez filozofów, rozważana przez wszystkich ludzi dopóty, dopóki czuć będą i myśleć, zdawała im się tak jasną i prostą. W najczystszej źródle miłości znaleźli szczęście!

Wesoła piosenka i śmiech dziecięcy obudziły ich z zadumy.

— Witold nas szuka... — uśmiechnęła się Janina.

W oku młodej matki jaśniała duma.

— Janiu, — odezwał się Dembiński, — mogłabyś teraz porzucić swoje bibliotekarskie zajęcie.

— Czy jesteś zazdrosny o lorda Arnburnsham?

— O lorda, o dyplom, o uczone jego szpargały, o wszystko... — śmieje się Dembiński rozweselony.

Lecz Janina rzecz tę bierze poważnie.

— Dobrze jest posiadać dużo pieniędzy, mężulku, — mówi z przekonaniem. — Natalka upomina się o szpital osobny dla starców i kalek. Trzebaby pomyśleć o tem. Nasz przytułek dla małych wydziedziczonych, należy także rozszerzyć. Dumną jestem, że powstał z mego funduszu, że do tej po macoszemu traktowanej u nas kwestyi, dorzucę może jaką myśl pożyteczną. Te biedne istoty których się wypierają rodzice, budzą we mnie litość najtkliwszą. Niech więc już wszystko zostanie tak jak było, Edwardzie! Chyba-że pan mój uważa iż wskutek zajęć po za domem, zaniedbuję obowiązki moje w domu...

Zajrzała mu w oczy badawczo, Dembiński oburzył się.

— Co za myśl, Janiu! Umiesz ty wszystko w przedziwny sposób połączyć. Lękam się tylko czy to nie za ciężko dla ciebie, mianowicie teraz, gdy sił oszczędzać potrzebujesz.

Zarumieniła się, zamykając mu usta pocałunkiem.

— Więc płyniemy do Zambrówki? — pyta. — Przywieziemy na herbatę Natalkę.

— Wątpię. Tyfus szerzy się w szpitalu nie na żarty. I Natalka i mąż jej, niemało mają zajęcia.

— Bardzo dobrane małżeństwo — uzupełniła Janina. — Chciałabym jednak wiedzieć, czy Natalka więcej kocha męża, czy swój zawód? Ale też wszelkie zabobony, wszelką niechęć do lekarzy wygnaj z naszej okolicy na zawsze. Nie masz pojęcia, jakim przywiązaniem, czcią nieledwie lud wiejski ją otacza.

Czoło Dembińskiego zmarszczyło się pod wpływem jakiejś przykrych myśli.

— Janiu, — pyta. — A cóż z Ireną? Że też w waszem słonecznym, spokojnym królestwie biedaczka ta równowagi odzyskać nie może.

Janina westchnęła.

— Nie tracę jeszcze nadziei... — szepnęła. — Gdyby można obudzić w niej chęć do pracy, jakieś tkliwsze uczucia... Ale ta nieszczęśliwa tak szalenie zamknęła serce, że się do niego dopukać nie można.

— Czuję pewne wyrzuty... — ozwał się Dembiński zamyślony. — Powiniennem być odnaleźć Orzelińską i nie pozwolić jej zginąć. To było obowiązkiem uczciwego człowieka. Trudno skazać na zagładę dzieci, które lekkomyślność ojca pozbawiła środków do życia.

— Mamo, mamusiul! — ozwał się wołanie blisko, bardzo blisko nich.

— Witoldzie! Pójdź synku! — odpowiedziała na nie Janina i zapominając, że stoi tuż, tuż, nad wodą, obróciła się żywo i poślizgnęła. Skórzaną jej bucik zatonał po kostkę w lepkiem nawodnionym piasku, brzeg sukni umaczał się w wodzie.

— Janiu!—krzyknął z przerażeniem Dembiński, chwytając ją w objęcia.

Janina się rozśmiała.

— Ależ nie... nie... Nie wpadłam przecie. Tyś się istotnie przestraszył, Edziu?

Dembiński tulił ją mocno w objęciu blady, przerażony.

— Nieuważna jesteś, ukochana,—rzekł po chwili.—Dopóki będziemy w Zarzeczcu, błagam cię, nie pływaj nigdy sama po jeziorze i nie zbliżaj się zbyt blisko do jego brzegów.

Spojrzała na niego zdumiona.

— Cóż znowu, Edwardzie! To już przesadzona troskliwość i obawa.

Lecz uderzył ją dziwny wyraz jego twarzy.

— Co tobie, Edziu?—pyta.

Dembiński przetarł ręką czoło.

— Wiesz, Janiu,—mówi na pozór żartobliwie,—gdybym się był nie znalazł na jeziorze w pewną straszną noc księżycową, mieszkabym teraz pewno w kryształowych pałacach, tam, na dnie... lub jak zaklęta rusałka wabiła oczarowane wdziękami sweimi ofiary w ton przezroczystą a zdradną...

Janina słuchając męża, stara się myśl jakąś pochwycić. Ucieka ona szybko lecz wola młodej kobiety przywołuje ją uparcie.

Zapatrzona w jezioro połyskujące srebrem w ostatnich blaskach słońca, wydaje się, że słyszy plusk fali zataczającej kręgi w około pływającego na powierzchni ciała, słyszy dźwięk tęsknej piosenki, którą potem krzyk zgrozy przecina.

„Ze srebrnej fali

„Z pianki i mgły

„Spłynęłaś ku mnie

„Bładolica...“

powtarza z cicha i zwraca się do męża, z błyskiem zbudzonego nagle wspomnienia.

— Edziu,—pyta gorączkowo,—kto to śpiewał?... Byłam wówczas nad jeziorem... uciekałam przed objęciem jakiegoś potwora, a potem ręce czyjeś zanurzyły mnie w zimnej, bardzo zimnej wodzie... O tak! Pamiętam wszystko dokładnie. A potem chorowałam długo i tyś mnie leczył, Edziu. Nieprawdaż?

Dembińskiego dreszcz wstrząsał. O! on to wszystko dokładnie pamiętał!

— Pójdźmy, poszukać Witolda,—mówi zmienionym głosem, ujmując rękę Janiny.

Lecz ona teraz wiedziała już wszystko. To Edward rzucił się w wodę, by ją ocalić od okropnej śmierci. On i zawsze on! Wierny, kochający, bez wahania poświęcający dla niej życie. Czemże mu za to odpłacała? Ilu cierpień jego była przyczyną?

— Edwardzie!

— Cicho, małeńka! Nie będziemy już mówili o tem. Wydarłem gnomom, elfom, rusałkom, skarb mój najdroższy który mnie za to pełnią szczęścia obdarzył, i—kwesya skończona. Widzisz tego młodego jelonka skaczącego między drzewami? Możesz być dumną ze swojego syna, Janiu.

W kilkanaście minut potem na obszernym tarasie przed pałacem gwarno było i wesoło.

Pani Helena wzrokiem zachwytu ściagała małego wnuka, któremu poważny doktor podzuceł piłkę. Janina rozmawiała z jakąś wieśniaczką prezentującą jej swojego malca, kilkanaście młodych panien oddawało się z amatorstwem grom towarzyskim, pod przewodnictwem Cecylii.

— Nie puszcę was tak prędko od siebie, Edwardzie,—odezwała się pani Helena, gdy zmęczony zabawa wnuczek utulił głowę na jej kolanach.

— Babunia rozmiłowała się w Witoldzie — rozśmiała się Dembiński.—A chłopak też rozzuchwałony zbytkuje za dziesięciu. Jania ma dwumiesięczny urlop, mateczko. Co do mnie, ledwo parę tygodni będę mógł odpoczywać. W olbrzymich zakładach i włościach lorda Arnbursham, zajęcia jest niemało.

— Czy nie za wiele czasu poświęcasz umysłowej pracy, Edwardzie?—spytała pani Helena obejmując troskliwym okiem przeredziałe nieco i siwiejące na skroniach zięcia włosy.—Ciagle coś drukujesz... W obec nużących obowiązków lekarza potrzeba się oszczędzać.

— Zamknę papier i atrament do swego biurka—odezwała się nadechodząca Janina.—Mateczka ma słuszność. Zmizerniałeś, panie doktorze!

— Niechno profesor zobaczy, czy nie pora wyprowadzić spać naszego infanta — rozśmiała się Dembiński.—I katedra której się spodziewasz, nie nada ci praw kontrolujących męża i pana.

Ucałował żonę serdecznie i odszedł, by w ciszy wieczornej zabrać się znów do pracy.

— Mamo, mam jakam ja szczęśliwa!—szepnęła Janina tuląc się do matki.

Łzy błysnęły w oczach pani Heleny. Łzy radości lecz razem i smutku.

— Czy nie pytałaś Amelki, Janiu, czemu odrzuciła znowu Gołębiowskiego? Tyle lat wytrwałej takiej miłości powinny były do jej serca przemówić...—rzekła do córki.—Jestto chyba ostatni konkurent, bo Amelkę już i teraz złośliwi, zaliczają do starych panien.

Janina rozśmiała się wesoło.

— A cóż jej to szkodzi, mateczko? Ona nigdy nie będzie starą, ta nasza piękna, szlachetna Mela. Czas nie zetrze pogody z jej czoła, nie ujmie słodyczy oczom ni uśmiechowi. Głowę jej wtedy nawet gdy wiek z naturalnej ozdoby ogołoci, piękne jej czyny aureolą otoczą. I czy myślisz, matko, że ona nie czuje się szczęśliwą? O! wierzaj mi, jest nią na równi ze mną, mimo to, że warunki jej życia są odmiennie. Spójrz na nią, matko. Otóż i ona.

Amelia zbliżała się z wolna ku rozmawiającym. Wyniosła, wspaniała jej postać odcinała się wyraźnie na tle puszystej zieleni. Zabłąkany promień słońca rzucił odblask złoty na twarz jej rozumną i piękną. Harmonia, spokój, zadowolenie obrały sobie siedlisko w jej duszy i też cenne te dary rozdała hojnie innym. Poetyczne niegdyś porównanie Brunona do kwiatu wytwornej, białej lilii, znalazło istotnie wierne zastosowanie.

Amelia niosła na rękę zaledwie kilkumiesięczną dziecinę. Z wątlej piersi małeństwa dobywało się łkanie.

— Nasza pocziwa Magda wynalazła znowu biedną sierotkę...—rzekła do matki pokazując jej dziecinę.—Czy nie spodziewasz się dzisiaj Natalki, Janiu? Niechby opatrzyła małeńką.

— Edward ją zastąpi,—odparła Janina.—W Zambrówce tyfus epidemiczny. Natalka nie przyjedzie.

Amelia zwróciła się teraz do postępującej za nią dziewczyny.

— Każ zagrzać mleko, Zosieńko.

Zosia Orzełńska złożyła na ławce kilkanaście kaftaników i koszulek dziecinnych, które w ochronie uszyto.

— Może mi oddasz dziecko, Amelko?—wyrzekła z prośbą.—Takie miłe małeństwo... Nakarmię je i do snu ukołyszę. Będzie myślało, że w objęciach matki zasypia.

Przy wyrazie matka, kurecz bólu ściągnął nagle jej rysy; głos łagodny zwykle i cichy, zadrżał głębią ukrywanej starannie tęsknoty.

Zosia Orzełńska wspomnienie matki przechowuje w sercu jak skąpiec skarby swoje i choć pozornie spokojna, zadowolona nosi jednak w piersi głęboką, nigdy niezagojoną ranę.

Ani młodość jej w pracy sterana, ani krańcowe zaparcie się siebie i nadludzkie wysiłki nie zdołały ocalić jej matki. Gdyby szczęście nawet uśmiechnęło się teraz do niej, odepehnęłaby je. Nie wróciłoby tej, która odeszła.

Niegdyś, zadawała sobie palące pytanie, czemu, czemu los obszedł się z niemi tak nieludzko? Dziś, znalazła już odpowiedź.

W otoczeniu ludzi którzy logicznie pojmowali życie i jego obowiązki, dowiedziała się: kędy droga do szczęścia!

KONIEC.

SIOSTRY NAPOLEONA.

Eliza Baciocchi.

Księżna Giombino i Lukki; Wielka Księżna Toskańska.

(1777—1820).

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ II.

Ogłoszono cesarstwo.

W dniu proklamacyi, na dworze Napoleona odbył się obiad rodziny, podczas którego tytułowano parę monarszą po raz pierwszy: Ich Cesarzskimi Mościami. Była to chwila bardzo ciężka dla sióstr Napoleona. Patrzeć na niebyszące wyniesienie bratowej, której nienawidziły z całej duszy, oddawać jej królewskie honory, nazywać *Votre Majesté*, widzieć, że nawet córka jej, Hortensya, ma prawo do godności *Votre Altesse* *) a samej być jakąś panią Baciocchi, to przecież dla pustego serca i słabej głowy męczarnia nie do wytrzymania.

Nazajutrz też, wszystkie trzy siostry zrobiły tak straszną scenę cesarzowi, iż przyciśnięty do muru, wypowiedział słynne zdanie:

— Doprawdy, słuchając waszych pretensyi, możnaby mniemać, moje panie, że nieboszczyk nasz ojciec zostawił korony królewskie w spuściźnie.

Niemniej *Moniteur* dworski ogłosił dekret, mocą którego Napol on podnosił siostry swoje do rangi księżęcej, nadając im tytuł: *Altesse Imperiale*.

Nie zadowolniło ich to wcale. Pierwszy konsul był cesarzem od paru miesięcy zaledwie, gdy każda z nich chciała już mieć osobną koronę. Dręczony wymóvkami i błagalnem naleganiem, Napoleon ustąpił, jak zwykle. Dzięki prawu starszeństwa księżna Eliza została najpierw obdarzona osobnem państwem:

Dnia 18 marca 1805 r. Napoleon, udawszy się z wielką ceremonią do sali senatu, oświadczył tamże, iż rada stanu rzeczypospolitej włoskiej ofiarowała mu żelazną koronę swego państwa, którą przyjął. Jako władca Italii zaś, nadaje prawem dziedzicznym księstwo Piombino siostrze swej, Elizie, która będzie odtąd nosiła tytuł: księżnej Piombino. Dzieci Elizy stawały się dziedzicznymi właścicielami państewka tego, pan Baciocchi zaś otrzymywał także tytuł księżęcy, wraz z naczelnem dowództwem armii w nowej swej ojczyźnie.

Na postanowienie cesarza wpłynęła nietyłe „troska o dobro ludów, powierzonych mej pieczy,” jak brzmiała wygłoszona przez niego mowa, ile chęć przerwania skandalicznych stosunków, ponawianych lekkomyślnie przez siostrę jego w Paryżu. Fouché—w cytowanych przez Turquan'a pamiętnikach—dowodzi, że pragnął zjednać sobie wdzięczność Elizy i cesarza, musiał się postarać za pomocą policyi, aby dwie osobistości, kompromitujące zbyt- nio księżniczkę, zniknęły ze stolicy.

Zachwycona narazie koroną, Eliza Baciocchi zaczęła wkrótce dowodzić, że jest ona „zbyt mała na jej głowę.” Wskutek tego, gdy deputacya Księstwa Lukki przybyła do Napoleona, podczas pobytu jego w Bolonii, z prośbą o przyłączenie państewka ich do cesarstwa francuskiego, nie uczynił on tego, lecz wzamian nadał księztwu Lukki konstytucyę i, przyłączając je do Piombino, zamienił w dziedziczną własność siostry swej, Elizy.

A gdy dwa te księstwa, złączone razem, nie zdołały jeszcze nasycić ambicyi dawnej wychowanki z Saint-Cyr, cesarz, zniecierpliwiony ciągłemi narzekaniami, dla ucieszenia ich dorzucił później kęs spory. W 1808 r. bowiem, otrzymała Eliza koronę Wielkiego Księstwa Toskańskiego.

Trzeba przyznać, iż wzamian robiła wszystko co mogła, by popierając politykę brata, okazać mu wdzięczność swą; że starała się zarówno o jednanie mu stronników, jak o utrzymanie solidarności

*) Cesarska Wysokość.

rodzinnej. Niestety, dodaje Turquan, stwierdzając zdanie swe licznymi przykładami, — cała ta dodatnia działalność niknęła wobec krzywdy, jaką czyniła sobie i państwu rozwyrzeniem moralnym, oraz brakiem wszelkiego hamulca nad rozhukanymi namiętnościami. Postępowanie jej musiało rzucić cień ujemny na cesarza i ustanowione przez niego rządy.

Napoleon zaś, w bezprzykładnej a szlachetnej swej miłości, z dziwnem odnosił się ku niej zaufaniem. Świadomy zupełnego jej posłuszeństwa na punkcie państwowym, nie miesza się do rządów Elizy. Otrzymuje wprawdzie wiernopoddańcze raporty, lecz nie krępuje w niczem woli tej, którą de Talleyrand nazywa ironicznie: *Semiramida Lukki*.

Wdzięczna za wyniesienie swe i pobłażliwość brata, Eliza ma tylko jedną troskę: oto stara się być podobną do niego w systemie rządów, usiłuje naśladować go w każdym ruchu i słowie. Mężowi swemu, p. Baciocchi, powierza ministerstwo wojny i naczelne dowództwo armii, złożonej z kilkunastu tysięcy ludzi, przyczem, przyjmując sama maniery wojownicze i żołnierskie, urzędują ciągle przeglądy minimalnej swej armii. Na wzór Napoleona również, stara się myśleć o dobrobycie wszystkich klas i stanów, buduje drogi, rozpoczyna roboty publiczne na wielką skalę, studjuje przeróżne konstytucje, by we własnej stosownie zaprowadzić zmiany; zagłębia się w czytaniu Machiavel'a i rządząc państwem złożonym z kilku mil kwadratów, przybiera pozory wielkiej monarchini.

Gdy cesarz awansował ją na wielką księżnę Toskanii, radość Elizy nie znała granic. Wyniesienie to bowiem dawało jej już pole do rozwinięcia pompy iście królewskiej. Przybywszy do Florencji, postanowiła przedewszystkiem uformować dwór, na wzór Napoleońskiego. Wszystkie piękne kobiety, wszyscy potomkowie starej szlachty, oraz przedstawiciele sfer wybitniejszych, otrzymali rozkaz stawienia się przed nią. Rzecz prosta, iż nie trzeba było powtarzać go dwa razy, ciżba bowiem schlebających dworaków zapisała się pod barwy nowej władczyni. Wogóle, był to doskonały sposób jednania sobie popularności. Księżna Eliza wiedziała o tem i umiała ją zdobyć, lecz — nie umiała utrzymać; wybryki jej moralne bowiem zrażały wkońcu wszystkich.

Dwór urządzony został na wielką skalę: Damy honorowe, szambelani, ochmistrze, koniuszowie, cały korpus paziów, jałmużnicy, kapelani, nie brakło nikogo, aż do licznego zastępu złotem błyszczącej służby. Dzięki próżności Włochów, w przedpokojach Elizy znalazła się cała szlachta toskańska; tak, że wszyscy tu nosili wielkie nazwiska, lub wielkie, choć puste tytuły. Wślad zatem nastąpił ceremoniał najsurowszej, ściśle na Tuileries'ach wzorowanej etykiety. Każde wyjście, każde przyjęcie, każda msza nawet, miała formę z góry przepisaną; ciągle zaś zabawy, bale i rewie, dziwne stanowiły przeciwstawienie z groźnym szeregami oręża i pomrukiem wojennym, rozlegającym się w Europie.

Ten pomruk właśnie nasuwał księżnej Baciocchi myśl o przyszłości. Trapiąca jej obawa, starała się zjednać sobie toskańczyków. Nie mówiła więc nigdy inaczej, jak po włosku, przyczem rozkazała, by język ten wprowadzono odtąd do aktów publicznych i urzędowych, kreśląc je w dwóch językach: włoskim i francuskim równocześnie.

Za drugi środek popularności uważała złoto, rzucane pełnemi garściami. Nie potrzebowała go zaś oszczędzać. Z czterech milionów, przynoszonych przez Toskanję, Napoleon przeznaczył połowę na jej wydatki. Wszystko to razem upaja księżną Elizę i podnosi aż do śmieszności dobre jej mniemanie o własnej potędze, rozumie i zasługach. Oto, na dowód, drobny wyjątek z listów jej do cesarza, przytaczanych przez Turquan'a, pisanych w chwili, gdy kler Toskanii opierał się wszechwładnym jej rozporządzeniom:

„Czekam na rozkazy Waszej Cesarskiej Mości. Bez względu zaś na to, jakimi będą, każę je wykonać ze stanowczością i rozważą, cechującą zawsze moje postępowanie.“ A dalej: „Najjaśniejszy Panię, otrzymałam list Waszej Cesarskiej Mości, z dnia 17 maja. Stanowczość moja i rozważa pokonały już wszelkie zapory. Gwardya narodowa wróciła do uległości; proboszczom powierzyłam

akty: urodzenia, ślubów i śmierci; nie rozpedziłam przytem, ani mnichów, ani zakonnic. Klasztory jednej reguły zostały złączone razem, dla innych wyznaczam domy osobne. Powiększy to wprawdzie wydatki mego skarbu, lecz wzamian pokonałam fanatyzm, zmuszając go do milezian. Naród więc zadowolony, przesady uszanowane, opozycja pokonana a rozkazy Waszej Cesarskiej Mości spełnione.“

Trudno byłoby przemawiać z większą pewnością siebie i — trudno było zarazem bardziej obrażać lud prywatnem, zbyt swobodnem życiem, niż to czyniła księżna Eliza. Napróżno cesarz Napoleon odwoływał natychmiast ludzi, którzy się narażali zbyt u opinii toskańczyków. Jednego ulubieńca zastępował drugi: dyplomacya, wojsko, arystokracja, kupey, wszelkie stany jak dowodzi Turquan — spłacić musiały swą daninę.

Co do pana Baciocchi, ten znajdował wszystko doskonałym. Gdy za czasów konsulatu, jego żona zmieniła niedystyngowane imię Maryanny na miano Elizy, jemu z Paschalisa kazano się przemianować na Feliksa. Paschalis był dobry dla Maryanny, — przy Elizie jednak, brzmiał zupełnie ordynarnie; a przytem, dla Włochów mógł być śmieszny i dawać pole do złośliwych przyeinków, (*Pasquale* — głupiec, niedołęga) Feliks zaś, *szczęśliwy, szczęśny*, stanowiło nawet dobrą przepowiednię.

Postawiony, jako głównodowodzący armią, pod hierarchiczną władzą naczelnego wodza, t. j. swej żony, Feliks Baciocchi wziął za zadanie swego życia, ślepe dla niej posłuszeństwo. Zamykał na wszystko oczy i mileżał. Wszak i tak dobrze mu się działo, a całe swe wyniesienie, cały dobrobyt jej tylko zawdzięczał. Nie robił przytem, nie, zupełnie nigdy nic; nie wtrącał się absolutnie do niczego, lecz, pogrążony we własnych rozrywkach, żył hucznie, bardzo hucznie, według trywialnego wyrażenia gminu „na fartuszkę żony.“ Zamieniony, z ubogiego porucznika, na księcia Feliksa Baciocchi, zjadał książęce dochody, upajając się absolutnem *farniente*, oraz przyjmując tych, którzy chcieli za jego protekcją uzyskać coś u jego żony, jako głowy naczelnej kraju.

Rola Baciocchi'ego była zresztą bardzo trudną. Być mężem królowej to rzecz nie godna bynajmniej zazdrości. Pojmował on prawdopodobnie doskonale, że jako szwagier cesarza Francuzów, powinien górować umysłem, wolą i charakterem, powinien posiadać wybitne zdolności, do których nie pozuwał się weale. Stopień „Wielkiego Orła Legii honorowej,“ nie nadał mu wojowniczych pragnień; była to natura: spokojna, zmysłowa i trochę leniwa, a przedewszystkiem słabo przez Opatrzność wyposażona.

Rozumiał też i uznawał, iż pod względem bystrości wojskowej i administracyjnej, żona znacznie go przewyższa. *Semiramida Lukki*, stworzona była, jak wszyscy Bonapartowie, na władczynię; pan Baciocchi zaś, na nieszkodliwego poczciwca.

W tych warunkach, dobrze zapewne zrobił, usuwając się od rządów; — usuwał się zaś tak bardzo, że mieszkał nawet osobno, w pałacyku, położonym dość daleko od książęcego zamku, a słynącym z iście garnizonowej swobody obyczajów.

Turquan dochodzi w miejscu powyższem do wyników, których ohyda nie daje się powtórzyć. Według niego, para ta, godna siebie, postępowała we wszystkiem, za zupełnem, zobopólnem porozumieniem; w przekonaniu, iż „honor, obowiązek, moralność oraz wszelkie formy i krępowania się, dobre są tylko dla zwykłych śmiertelników.“ „Żyć dla siebie, iść za własnymi upodobaniami i umieć je ukryć, — oto zasada, głośno przez oboje wyznawana. Przy takiej zgodności pojęć nie dziwnego, iż porozumiewali się z łatwością co do zewnętrznej reprezentacji, której zadaniem było właśnie „upodobania owe ukryć wobec świata.“

Obraz ten staje się stokroć smutniejszym jeszcze, wobec klęsk i niepowodzeń, jakie zaczęły walić się stopniowo na wielkiego cesarza. Eliza, obojętna na nieszczęścia brata, odchodzi jednak od zmysłów na myśl, że wraz z jego upadkiem, runie i jej pożyczana wielkość. Narażanie na szwank posiadłości, rozdarowanych przez niego rodzinie, uważała za szczyt egoizmu i lekkomyślności. Nie chodziło jej o Napoleona, któremu zawdzięczała wszystko, lecz o siebie i o siebie tylko. Poddawszy się pod kieru-

nek Fouché'go, nie oburzyła się nawet, gdy tenże powiedział jej bez ceremonii.

— Pani, istnieje tylko jeden środek ocalenia: Należy zabić natychmiast cesarza. *)

Równocześnie, w chwili gdy Francja jęczała od dwóch miesięcy pod najazdem wojsk obcych, gdy gmach cesarstwa rozpadał się, zbryzgany krwią wiernych swych obrońców, Eliza — jak zapewnia Turquan — żądała od matki swej, wiadomości o ostatnich balach i plotkach światowych. Trudno byłoby nieość własną dalej posunąć!...

A tymczasem grunt coraz silniej z pod nóg jej się usuwał. Murat, zajmując Rzym, wysłał do Toskanii generała neapolitańskiego Minutolo, z rozkazem zajęcia posiadłości księżnej Baciocchi. Wobec zapału, z jakim poddani jej witali pokrewne wojska włoskie, Elizie pozostawało tylko zapakować rzeczy osobiste i uciekać cpośród. Feliks Baciocchi, na rozkaz żony, zamknąłszy się w cytadeli florenckiej, czekał tam chwili sposobnej do — kapitulacji. Wyjeżdżającego z państwa swej małżonki, żegnała ludność złośliwym konceptem, a raczej grą wyrazów, do której zmiana imion jego pełne dała pole.

Ustępującemu więc księciu, ulicznicy nawet wołali na odjeździe: *Quando eri Felice, eravamo Pasquale; adesso che sei ritornato Pasquale, saremo felici.*

I oto, ten jeden żarek, okrył śmiesznością upadek wielkiej księżnej. Zdrada zaś Murat'a, z którym złączyła się przeciw własnemu bratu i dobroczyńcy, okryła ją jeszcze obydwą.

Gdy lord Bentinck, wylądowawszy z wojskiem angielskiem w Livorno, zawiadomił Elizę Baciocchi, iż godność jej wielkksiężęca obaloną zostaje, a Toskania przechodzi pod władzę Anglii, Opatrzność zesłała siostrze Napoleona, wzamian za władzę monarszą, — syna i spadkobiercę, który niestety, nie miał już co dziedziczyć.

Zaareztowana wreszcie przez wojska austriackie w Bolonii, księżna Eliza odwieziona została pod eskortą, jako więzień stanu do Brna (Brünn). W ostatniej dopiero chwili pozwolono jej spakować własnoręcznie skromny tłumoczek, wobec oficerów austriackich, zapewniających pokój.

Smutne to było przebudzenie się, z długiego snu bajecznego wyniesienia i pomyślności. *Sic transit gloria mundi!*

Internowana w Brnie, — księżna Piombino i Lukki, eks — wielka księżna Toskanii i siostra eks — cesarza, nieprzywykła do dymu fabrycznego miasta, prosiła o pozwolenie zamieszkania na wsi, lecz prosiła napróżno. W 1815 r. przed przewiezieniem Napoleona na Elbę, pisała do bratowej swej, Maryi — Ludwiki, błagając, aby jej wyjednała u cesarza Franciszka, swego ojca, upoważnienie do powrotu do Francji. Żona Napoleona, tak zwykle obojętna dla męża i całej jego rodziny, nie odmówiła tym razem. Na list jej wszakże, cesarz żadnej nie dał nawet odpowiedzi.

W pomyślności Eliza zmieniła niegdyś imię; w nieszczęściu zmienia nazwisko. Zwykła to poecieha głów koronowanych, a detronizowanych. Marya-Anna Bonaparte, późniejsza Eliza Baciocchi, a dalej księżna Piombino i Lukki, wielka księżna Toskanii, staje się odtąd dla świata hrabiną Campignano.

Gromy uderzające w rodzinę własne nieszczęścia i wyrzuty sumienia może, zachwiały nagle zdrowiem jej, bardzo dotąd silnem. Umiera d. 7 sierpnia 1820 roku, w willi Vincentini, w pobliżu Tryestu, gdzie jej się pozwolono schronić wreszcie.

Pozostawiła dwóch synów i córkę Napoleone — Elizę. Jeden z nich zmarł w 1830 r. mając lat 20; drugi zgasł w Rzymie, w 1833 r. wskutek upadku z konia. Napoleona-Eliza, charakter dzielny, marzący o wykradnięciu księcia Reichstadt'u, z Wiednia, poślubiła w 1825 r. hr. Camerata i miała syna, który odebrał sobie życie w 1853 r. Z potomków Elizy nikt więc dziś już nie istnieje.

Paschalis *vel* Feliks Baciocchi nie umiał nawet, umrzeć w porę. Łudzony nadzieją powtórnego wybicia się, zasypywał listami wszystkich ludzi u steru władzy stojących. Między innymi zwracał się o poparcie do największych wrogów Napoleona. Słusznie też kończy Turquan, iż nadmiar godności,

*) Rovigo. *Mémoires*, t. VI, str. 352.

zlewanych na niego przez szwagra—Cesarza, kazał mu zapomnieć o jednej lecz najwyższej, t. j. o godności własnej człowieka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem dojechali do stacyi. Było już po drugim dzwonku. Zygmunt ledwie zdążył dać do ostępowania swój bilet wolnej jazdy, o który mu się wystarał być jeden z przyjaciół, i wskoczył na platformę pierwszego z brzegu wagonu pierwszej klasy już w chwili, kiedy pociąg miał ruszać. Koledzy pośpiesznie ściskali mu ręce i żegnali życzeniami sławy, zaszczytów i powodzenia w Rzymie, ostrzegali przed pięknoscią tamtejszych mieszkank, a Zygmunt uśmiechał się na to wesoło, bo z chwilą, gdy wszedł do pociągu rozdrażnienie jego znikło odrazu. Potem rozległy się liczne gwizdania, podobne do rozpaczliwych wrzasków, para zaszumiła — buchnęło kłębam dymu — przed Zygmuntem zaczęły się przesuwac różne postacie, żegnające znajomych, mignęli mu parę razy przed oczyma koledzy, którzy biegli obok pociągu machając kapelusami—potem wszystko zasłoniło się kłębam dymu. Gdy te się rozeszły, ukazały się domy warszawskie, uciekające z ogromną szybkością, potem zamiejskie fabryki,—a potem oko biegło już swobodnie daleki płaski krajobraz jesienny, uciekający i zmienny przy brzegu, ociążały i nieruchomy tam, gdzie widniał siny las w oddali.

Zygmunt z lubością wciągał ożywe wiejskie powietrze, zachwycał się szerokością widnokregu, świeżością, łak, błękitem nieba, którego dawno już w Warszawie tak czystym nie oglądał—i wstępowała w niego nadzieja—szeroka jak te widnokregi—jak jego myśli—nadzieja, która tylko młodość dać może i która rozparzała mu piersi. — Przecież tego co on już dokonał, nie stworzył nikt z jego rówieśników, a mało kto z artystów wogóle.—Przecież on liczył dopiero 23 lata—miał wielkie idee—wielki zapał — wielkie jak wszyscy mówili zdolności—dlaczegoż nie miał by teraz osiągnąć tego, co było marzeniem jego życia? Dlaczegoż, gdy przeszedł tyle przeciwności, gdy zwałczył nędzę i głód, gdy podbił sobie krytykę i publiczność, gdy osiągnął w technice mistrzostwa nieledwie—dla czegoż nie miał by teraz stworzyć czegoś, co imię jego rozślawi po całym świecie?—Oto jedzie już na ostatnie studia... Cierpliwości! — cierpliwości tylko! — a wypowie nareszcie siebie—a pokaże światu swoją potęgę!

I wtedy musi się znaleźć ktoś co go zrozumie, odezuje i ocenił nie tak jak bezduszną krytyką, która tylko technikę miała na oku i ją wychwalała — gromiąc to co w obrazie było najważniejszym.—Ah, wtedy! — znajdzie się jakaś kochana głowa, co mu się skłoni na piersi, znajdzie się para promiennych oczu, co go obejmie kochanem wejrzeniem — znajda się usta, co szeptać mu będą wśród wyznań miłośnych: jesteś wielki!

Ah prędzej, prędzej, dążyć do tej chwili!—Do tego jedyne szczęścia, jakie istnieje na ziemi!—Prędzej pędź ty żelazny kolosie, prędzej obracaj się myśli potężna, podwajaj się lotności wzroku—wprawo rękę—siło uczucia!—Prędzej na szczęście dla tego wybrańca z miliona, na chwałę społeczeństwa, z którego on wyszedł!..

Prędzej! — wołało wszystko w Zygmuncie i czuł w sobie taką siłę, że porwać by mógł zdało mu się

ten pociąg gdzieś w nadpowietrzne sfery, gdzie było siedlisko jego wyobraźni.

Ale wkrótce zejść musiał z obłoków, bo konduktor stał już od niejakiego czasu obok niego i dopytywał się kilka razy o bilet.

Teraz szarpnął nim gwałtownie, myśląc że ma doczynienia z kimś co się chciał darmo przejechać.

Lecz Zygmunt prędko nieporozumienie wyjaśnił, przyczem dowiedział się, że na platformie stać nie wolno.

Z żalem uchwycił swoją walizkę i wszedł w korytarzyk, na który wychodziły drzwi przedziałów wagonowych.

Nacisnął klamkę pierwszego z brzegu, — otworzył—spojrzał—i stanął zachwycony.

Co za wspaniałe światło czerwono-złote wieczornego słońca oblewa tę delikatną ruchliwą twarz, te złote wijące się włoski, które ją otaczają jak aureola promienna! — Co za cudowne, wielkie oczy, mieniące się blaskami złota, zdumione i zmieszane!..

— Ah pani! — zamknij żeż pan drzwi, bo przecież wieje! — ozwał się niecierpliwie jakiś głos wychodzący z ciemności, w jakich zdawała się być pogrążoną reszta przedziału.

Zygmunt oprzytomniał, wstawił swoją walizkę na przyczepioną w górze wagonu siatkę, zamknął drzwi, ale gdy z ciekawością spojrział znowu w stronę okna, nie ujrzał już cudownego zjawiska, bo zasłoniła je jakaś osoba dość dobrej tuszy, schylona zapewne nad niem właśnie.

Nikogo więcej nie było w przedziale.

— Oj ty pieszczocho! — mówiła odwrócona dama gderliwym i poczciwym głosem—teraz to skarzysz się, że ci wieje—a nie było to szala na siebie włożyć?—No, już ja ci tej chustki lepiej nie zawiążę... — Dobrze tak?

— Nie mamusiu...—odparł ktoś tonem rozpieszczonego dziecka.

Oj ty, ty, ty... — No i cóż teraz będzie?—Aha!...—szala się córce chce...—Patrzaj no ją, będą jej szal jeszcze z góry dostawać... gderała i sięgnęła ręką ku górze, gdzie leżały kufarki i kufereczki różnego gatunku.

Zygmunt poskoczył z pomocą.

— Pani pozwoli! — zaczął...

— Dziękuję panu serdecznie — jeżeli pan łaskaw — może pan dostanie te paski — nie te — nie te — te małe — te z lewej strony — cóż pan nie widzi?..

On zaś rzeczywiście nie widział, bo zerkał w stronę, gdzie spodziewał się znaleźć tę samą eteryczną głowę w cudownym oświetleniu.

— Aa—to te — rzekł wreszcie i podał nieznaną jej żądany przedmiot, zły, że oświetlenie znikło. Jednakże i bez niego głowa była interesująca i wydała mu się znajomą.

Ale dama znowu zakryła sobą piękną główkę.

— No, cóż — dobrze nareszcie? — Jeszcze nie? — A cóż za obrzydliwy wagon! — zewsząd wieje — wszędzie... No, już teraz musi być dobrze, ledwie że ci nos widać. — To wie pan, mówiła dalej siadając, co to jest za okropna rzecz samym kobietom takjechać! Ciągłe się trzeba pilnować, to jej pilnować, to... Czy pan da wiarę, że...

— Mamusiu, odezwało się za szalem — tu od okna jeszcze wieje...

— Ee, moja Janko — już nudziśz — siadaj chyba już koło drzwi — albo co, bo już nie wiem co robić. Janka spojrzała w okno grymasnie, chcąc pokazać, że nie chciałyby się stąd ruszać.

— Zdaje mi się — wtrącił Zygmunt pośpiesznie, że tu druga szyba nie zamknięta. — Sprobuję — może...

— Ech! Konduktor mówił, że ona się weale nie zamyka.

— Co tam konduktor wie — odparł Zygmunt i wkrótce pod jego silną dłońią okno się zamknęło.

Matka Janki była zachwycona.

— Do prawdy, Bóg nam pana zesłał... — pan taki poczciwy że się nami opiekuje... Bez pana nie dałybyśmy sobie chyba rady — musiałybyśmy się przenieść do innego wagonu — mówiła nieco dramatycznie rozkładając ręce.

— Proszę pani — odparł kłaniając się młody malarz — gotówem jeszcze pomyśleć, żem spełnił bohaterstwo — a ja poprostu zamknąłem okno.

— I szal z góry dostałem — dodała właścicielka pięknych oczu z uśmiechem.

— Prawda! — a więc do bohaterstwa przybywa jeszcze skromność — bo zamilezałem o swych zasługach...

— Które były równie wielkie, jak zamknięcie okna...

— O tak! wielkie: — bo obydwie miały za cel uprzyjemnienie podróży — pani...

Janka zmieszała się, lecz matka jej, której się niezmiernie młody człowiek podobał, przysła jej z pomocą.

— Proszę! — mówiła przekomarzając się — więc gdyby to o mnie chodziło, toby te zasługi nie były tak wielkie?..

Zygmunt zaczął się bronić, Janka jeszcze bardziej zmieszana tą dysputą nie uważała, że szal spadł jej na ramiona i odsłonił jej drobną twarzyczkę, — pełną uśmiechów, — wrażliwą i ruchliwą jak powierzchnia jeziora, która drga za najlżejszym powiewem, a zarazem śliczną i świeżą jak pączek róży. Chwilami podnosiła swoje wielkie morskie oczy na Marzejskiego i wtedy przypominała sobie, że ona go zkądś zna doskonale... Ah! czyż by to był ten sławny człowiek, którego tak gorąco poznać chciała?..

Nagle spytała niskim serdecznym głosem, zarumieniona.

— Czy pan nie zna... przypadkiem... państwa Orkowskich.. bo zdaje mi się...

— Znam! znam! — ah tak! — bardzo dobrze! — odrzekł malarz uszczęśliwiony. — Zdaje mi się, że widziałem panią raz, kiedy wychodził już od tych państwa... Panie pozwolę — dodał śpiesznie, że im się przedstawię...

— Pan zamało siebie ceni — przerwała Janka żywo i zarumieniła się jeszcze bardziej — nie poznałyśmy pana odrazu, bo portret pański w ostatnim tygodniku nie zupełnie był podobny... Tacy ludzie jak pan nie powinni się przedstawiać...

Była czarująca, gdy tak zarumieniona, z rozrzuceniami złotymi włoskami ścisłała mu rękę z zapalem.

— Ah to pan jest ten Marzejski!... — zawołała jej matka — przypatrując mu się ciekawie. Nie a nie nie podobny — prawda Janko?

Ale Janka nie słyszała i wciąż patrzała na Marzejskiego, który zachwycony, oszołomiony bąkał niezrozumiałe wyrazy i nie wiedział, czy dziękować za niespodziane przyjęcie, czy też pytać się o portret, który był dla niego równie wielką niespodzianką.

Wreszcie to ostatnie przemogło.

— Więc proszę pani... — więc... był portret?

— Jako? — to pan nie wie?

— Ja nie mam Tygodnika, a jeżeli dziś przyszedł...

— Ah! to pan nie wie! — Był ogromny artykuł o pańskim Fragmentcie.

— Jakież to śliczne! — wtrąciła matka Janki.

— Panie są bardzo łaskawe... Doprawdy... nie wiem — mówił rozpromieniony. — I... i cóż pisali?

— Aa pisali różne rzeczy — chwalili technikę — pod niebiosą wynosili... ale...

— Ale co?

— Ale były też i nagany.

— Ah, tego jestem najbardziej ciekawy! — niech pani powie...

— Ganili różne rzeczy... — narzekali na tajemniczość... na brak proporeyi w kompozycyi... i tam... takie różne brednie...

— Brednie? — dlaczego pani mówi brednie?... — spytał Zygmunt żywo.

Aa... bo to proszę pana... — zaczęła Janka i urwała, spojrzawszy na niego nieśmiało.

Lecz w tej chwili wszedł posługacz ze światłem (było coraz ciemniej) i na chwilę przerwał im rozmowę zapalając latarnię. Wagon napełnił się brudno żółtem światłem, które silnie odbijało od niebieskiego zmroku za oknem. Posługacz wyszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wycieczka na Islandyę.

(SZKIC Z PODRÓŻY).

(Dalszy ciąg).

Wieśniak z osady Haukaðal, do którego terytorium to należało, nie pozwala, by Strokkur więcej niż jeden raz na dzień się męczył; miałem następnie sposobność przekonać się osobiście, że trudno nawet więcej żądać od tego osłabionego wiekiem źródła.

Przez cały pierwszy dzień zabawiałem się w ten sposób, żem wszystko, cokolwiek mi wpadło pod rękę, a więc bryły ziemi, kamienie, puszki blaszane i t. p. wrzucał w olbrzymią paszczę staruszka. Nie wywołało to jednak żadnego skutku. Ponieważ przez cały dzień padał deszcz, a ja miałem wielką ochotę źródło podczas wybuchu odfotografować, postanowiono więc odłożyć przedstawienie do dnia następnego, gdy będzie sprzyjała pogoda. Nazajutrz około południa deszcz ustał; o godzinie 2-iej przyszedł Izaak z synem wieśniaka z Haukaðal, ten ostatni z łopata znaną wszystkim turystom. Podczas gdy obaj zajęci byli kopaniem ziemi, ja ustawiałem aparat fotograficzny; w razie wybuchu, potrzebowałem tylko nacisnąć na guzik, a zdjęcie byłoby gotowe. Tuż obok otworu w dnie basenu usypano wał z ziemi objętości mniej więcej $\frac{1}{2}$ m. sześć. h. o godzinie 2 $\frac{1}{2}$ wpakowano tę dozę w paszczę potwora. Z niecierpliwością oczekiwałem rezultatu; w opisach podróży czytałem, że wybuch nastąpić powinien w 10 minut. Przeszło 10, potem 20 minut, a Strokkur zadawał mi się jak przedtem tylko syczeniem i hałasowaniem. Gdy do godziny 3-iej nie nastąpiła zmiana, postanowiono dać leniwej bestyi drugi ładunek, taki sam, jak poprzedni; w 7 minut po 3-iej otrzymał Strokkur nową porcję. Czekaliśmy znowu z wielką niecierpliwością; teraz to już chyba wybuch nastąpi niezawodnie. Nie spuszczaaliśmy oczów naszych z otworu, ale nie mogliśmy nic nowego dojrzeć.

Omne trinum perfectum! Do trzech razy sztuka! pomysleliśmy sobie. O godz. trzy kwadrans na czwartą wał z ziemi tego samego kalibru, co i poprzednie zniknął w otworze. Ale i ten nie był w stanie leniucha do pracy pobudzić. Strokkur strejkował najwyraźniej. O godz. 4 $\frac{1}{2}$ deszcz zaczął padać na nowo, a przytem zerwał się silny wicher, musiałem więc dać za wygraną i aparat fotograficzny zapakować. Tak więc nie miałem fotografii ani Geyzira, ani Strokkra. Nazajutrz o godz. 6-iej rano—noc tę przepędziłem w Haukaðal—przyszedł Izaak z doniesieniem, że uparty Strokkur wszystkie trzy porcje, otrzymane poprzedniego dnia, wyrzucił z siebie przed chwilą z wielkim hałasem.

O tempora, o mores! A więc nawet na Strokkra, tego Strokkra, który dotąd był wzorem akuratności, rachować już nadal nie można, a więc i on cierpi na to samo osłabienie starcze, które widoczne jest u wszystkich innych źródeł w tej okolicy.

Przed 15 laty znany podróżnik Afrykański Burton nazwał oba źródła Geyzir i Strokkur w ich ówczesnym stanie „Gross humbugs.“ Gdyby je teraz widział, miałby o wiele więcej powodów niezbyt grzeczną tę nazwę do nich zastosować; bo już nawet w przeciągu tego krótkiego czasu, oba te źródła straciły bardzo na sile. I nie ulega żadnej wątpliwości, że źródła te, (jeżeli w najbliższej przyszłości trzęsienie ziemi lub jakie inne wulkaniczne zjawisko nie natchnie ich nowem życiem) stracą swoją siłę atrakcyjną i nie będą niczem innym, jak tylko

zwyczajnymi wrzącymi źródłami. A przytem, jak wiadomo, nie tylko jedna Islandya szezycić się dziś może wybuchającymi źródłami; niedawno bowiem odkryto w Nowej Zelandyi i w okręgu Yellowstowe źródła, które stoją dziś w pełni młodzieńczych swych sił, tak że konkurencya z nimi jest wprost niemożliwa.

Jako przyczynę tego zjawiska, że Strokkur pomimo kilkakrotnych prób nie dał się nakłonić do wybuchu, podają mieszkańcy tamtejsi tę okoliczność, że wskutek częstych deszczów spłynęła z gór sąsiednich nadmierna ilość wody, przez co się temperatura źródła obniżyła. Tomaczenie to jest po części słuszne, zauważyłem bowiem, że wszystkie źródła wrzące były daleko czynniejsze wtedy, gdy przez dłuższy czas trwała susza.

Wybuch Strokkra miał miejsce, jak to już wyżej powiedziałem, we wtorek rano, nowa więc próba na nicby się była nie przydała. Przez cały ten dzień wieśniak z Haukaðal, którego lenistwo Strokkra Niemile dotknęło i w którego interesie leży, aby jak najdłużej podtrzymać życie staruszka, zajęty był robotą około naprawy brzegów; dokoła otworu usypał niski wał, a prócz tego wykopał kanał, którymby gromadząca się w wielkiej ilości woda deszczowa odpływać mogła. We środę, na krótko przed moim odjazdem odbyć się miała nowa próba. Za pomocą gwałtownych środków udało się wreszcie pobudzić źródło do wybuchu, o tem jednak później.

Najbliższe góry Laugafell znajduje się źródło Blesi, najpiękniejsze ze wszystkich w tej okolicy położonych. Składa się ono z dwóch wielkich, okrągłych, obok siebie położonych zbiorników, mających kształt grotty, napełnionych po same brzegi spokojnie płynącą wodą; na powierzchni oddzielone są od siebie wązkim pasem ziemi, wewnątrz jednak mają połączenie. Temperatura wody jest nieco niższa od punktu wrzenia. Na piękność tego źródła składa się w części napełniająca je zielononiebieska, przezroczysta jak kryształ woda, a w części tysiące białych sopli, które w formie stalaktytów pokrywają wewnętrzne ściany zbiorników. Widzowi, stojącemu na brzegu zbiornika i patrzącemu w głąb zwierciadlanej powierzchni wody, zdaje się, że ma przed sobą jakąś zaczarowaną grootę z tysiąca i jednej noży. „Ta błękitna grota“ Islandyi pod względem piękności równać się chyba może ze sławną grota na Capri. Podobnych źródeł jest tu więcej, żadne jednak nie dorównywa tylko co opisanemu. Źródło to było dawniej wybuchającym, dziś jednak uspokoiło się, jak tyle innych, np. mały Strokkur i mały Geyzir.

Mały Strokkur jest dziś tylko małym zagłębieniem, napełnionem kamieniami i wrzącą wodą. Mały Geyzir dawno już również skończył swoją karierę, jako źródło wybuchające, i dziś nawet nie łatwo go odszukać. Udało mi się jednak pobudzić go do kilku sztuczek. Przedstawia się on dziś bardzo skromnie i składa się z okrągłego otworu o 30 cm. średnicy. Opodal znajduje się 30 cm. długa i kilka cm. szeroka szczelina, a nagromadzonej dokoła obu tych otworów żwir, daje dokładne pojęcie o sile wybuchowej tego źródła w dawnych czasach. W tym samym dniu, w którym robiliśmy nieudane próby ze Strokkrem, oba te otwory zabite zostały ziemią, wieśniak bowiem z Haukaðal opowiadał, że i mały Geyzir da się kiedy niekiedy zachęcić do wybuchu. Lecz on również jak i większy brat jego zawiódł nasze oczekiwania. Gdy jednak nazajutrz spacerował dla zabicia czasu od jednego źródła do drugiego, spostrzegłem, że ziemia, którąśmy otwory małego Geyziru zabili, leżała wyrzucona dokoła, musiał więc nastąpić wybuch. Zauważyłem przytem, że woda w większym otworze kotłowała się bardziej niż zwykle. Niestety, nie miałem przy sobie ani łopaty, ani innego podobnego narzędzia. Udało mi się jednak wykopać przy pomocy rąk

i nóg tyle ziemi, żem mógł nią zabić szczelnie oba otwory. W jednej chwili woda wydostała się na wierzch, wrzenie wzmagало się coraz bardziej, z obu otworów wytryskać zaczęła woda zmieszana z ziemią na metr wysoko. Po kilku chwilach wystrzeliła z szumem z wielkiego otworu fontanna na 6 metrów w górę. Całe widowisko trwało zaledwie minutę, woda wzbijała się raz wyżej, to znowu niżej, aż wreszcie opadła z wolna i zniknęła w otworze. Wrzenie nie ustawało jednak i za chwilę widowisko powtórzyło się; ciemno-brunatna fontanna tryskała do tej samej co przedtem wysokości. I jeszcze trzeci raz powtórzył się wybuch, poczem siła źródła, a raczej zapas wody wyczerpał się. Z ciekawością i przestrachem niemal przypatrywałem się groźnemu widowisku; wszak to był pierwszy bardziej zajmujący szczegół mojego tu pobytu.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu ma być w 1897 r. urządzona wystawa nowych wynalazków russkich.

— Towarz. dobroczynności publicznej w Warszawie otrzymało od Rady zarząd. Dobr. pozwolenie zebrania 80,000 rs. na budowę gmachu dla sierot i dziewcząt.

— We Lwowie założono lecznicę dla ubogich kobiet, w której dwa razy co tydzień mogą korzystać z bezpłatnej porady lekarskiej.

— P. Oczapowska, wdowa po Józefie, profesorce uniwersytetu, ofiarowała 1,200 tomów dzieł ekonomicznych Bibliotece Jagiellońskiej.

— Artysta dramatyczny, Edward Rygiel, objął na lat sześć teatr Poznański.

— W Mławie przystąpiono do budowy szpitala, który będzie mógł pomieścić wygodnie trzydziestu chorych.

— Podług otrzymanych w d. 13 Sierpnia r. b. wiadomości w Sztokholmie uczony szwed André wraz z towarzyszem swym Eekholmem, postanowili tego lata dotrzeć do bieguna północnego i zamierzają się puścić w tym celu balonem.

— Wkrótce otwartą będzie w Warszawie szkoła handlowo-przemysłowa o 7 klasach z prawami szkół rządowych, na wzór istniejących w Petersburgu, Hamburgu i Lipsku. Kierownikiem szkoły będzie P. Edward Ronthaler, były Dyrektor szkół rządowych.

— Zapisy do uniwersytetu Warszawskiego już się rozpoczęły. Rektor zawiadamia, że wskutek rozporządzenia rady uniwersyteckiej stypendya, zwolnienia od opłat wpisowych i ulgi przy opłatach udzielane będą tym tylko studentom, którzy przedstawia świadectwo ubóstwa, otrzymane w miejscu rodzinnem, z dokładnem wyszczególnieniem stanu materialnego.

— W Skierniewicach położono kamień węgielny pod budowę nowego szpitala.

— Po zamknięciu Wystawy w Niższym Nowogrodzie, tarczyczna kolejka elektryczna ma być przeniesiona pod Warszawę do Mokotowa.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 18-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—Kedy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dokończenie).—Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—Promyk szczęścia. Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj (dalszy ciąg).—Wycieczka na Islandyę (Szkic z podróży) (dalszy ciąg).—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmujący: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 18-ty.—Przegląd mód. 42 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.